

Janusz Jankowiak

Globalny kryzys i przymusowe niedemokratyczne przywództwo

Ten globalny kryzys, jak żaden inny, zanurzony jest w polityce. I nie jest to bynajmniej polityka gospodarcza. Kryzys narastał równolegle w wielu regionach świata. I choć miał różne oblicza, to wspólnym mianownikiem był zawsze ten sam: polityczny interes rządzącego, choć zmieniającego się przecież w rytmie demokratycznych wyborów, establishmentu.

W Stanach wszystko zaczęło się dobre dwadzieścia z hakiem lat temu. Wyjątkowo szybko, nawet jak na ten znany ze zróżnicowań kraj, zaczęły wtedy narastać, a później utrwalac się, gargantuiczne różnice w poziomach dochodów i udziale w tworzonej PKB. Napisano już o tym wiele artykułów i książek (w tym swoje bestsellerowe „*Fault Lines*” popisał Raghuram Rajan), upatrujących w bezprecedensowym i niekontrolowanym procesie rozwarstwienia praźródła wszystkich naszych dzisiejszych problemów.

Dziewięciu dziesiątym obywateli najpotężniejszego państwa na świecie politycy musieli dać coś, co sprawi, że nie obrócą się oni przeciw demokratycznemu łaadowi we własnym kraju. Tym czymś był tani kredyt. Nie zarabiasz tyle, co ta jedna dziesiąta, która może pozwolić sobie na wszystko, bo osiąga gigantyczne dochody? Trudno, nie martw się. Pozwolimy ci kupić co chcesz na kredyt i zagwarantujemy, że będzie on tani i dla ciebie dostępny. Chcesz auto? – nie ma problemu; chcesz dom? – jak najbardziej; jeszcze 3 karty kredytowe? – daj nam tylko 5 minut. I tak to się właśnie, proszę państwa, zaczęło.

Później ruszyła lawina: wzrost zadłużenia gospodarstw domowych, spadek stopy oszczędności, proces lewarowania się banków, wykorzystywania na masową skalę, jako zabezpieczeń, wielokrotnie „przepakowanych” i sprzedawanych instrumentów pochodnych, których natury i ryzyka nikt już nie był w stanie zrozumieć, nowe rynki oznaczone tajemniczymi dla wielu trzyliterowymi akronimami...

Myślę, że ci, którzy decydowali o dopuszczeniu do upadku banku Lehman Brothers we wrześniu 2008, nie zdawali sobie sprawy do jakich następstw doprowadzi to przekucie bańki złudzeń, jaką sprokurowali swoim wyborcom amerykańscy politycy.

W tym samym czasie w Europie inni politycy tolerowali finansowanie tanim długiem konsumpcji w krajach o systematycznie zanikającej konkurencyjności. I jeszcze się z tego cieszyli. I jeszcze się tym chwaili. Można by wskazać dziesiątki cytatów z wypowiedzi różnych ekonomicznych misjonarzy, którzy z dumą podkreślali, że strefa wspólnego europejskiego pieniądza trwale niweluje różnice w pozyskiwaniu pieniądza między Grecją a Niemcami. A ile było cmokania nad irlandzkim cudem gospodarczym, który zasadał się na pięknie wyhodowanym nieruchomościowym bąbelku wielkości kilkakrotnie przekraczającej PKB.

Skąd to się brało? Skąd takie lekceważące deptanie traktatowych zapisów o obowiązujących limitach długu publicznego? Skąd tolerancja dla pozabilansowych wehikułów finansowych w bankach? Oczywiście z niewiedzy i politycznych kalkulacji. Z niewiedzy, bo instytucje nadzorujące rynki, jak również globalne agencje ratingowe, naprawdę niewiele rozumiały, co się na nich naprawdę dzieje. Z chłodnej politycznej kalkulacji, bo takie chociażby Niemcy, najpotężniejsza gospodarka strefy euro, dobrze przecież żyły z ubezpieczonego politycznie od jakiegokolwiek ryzyka eksportu własnych nadwyżek kapitałowych. Ci najbiedniejsi brali, co im bogaci dawali nie oglądając się na możliwości zwrotu kapitału, bo co, mieli odmawiać?

Strefa euro wyeliminowała, niektórzy sądzili, że na stałe, ryzyko finansowania obrzymich podwójnych deficytów: budżetowego i na rachunku obrotów bieżących. Wielu moich kolegów ekonomistów przestało w ogóle zwracać uwagę na bilans zewnętrzny krajów obszaru wspólnego pieniądza. Co to miało za

znaczenie, czy Grecja miała 5, 10, czy 20 proc. PKB deficytu na rachunku bieżącym? Kryzys zaufania, uruchomiony formalnie rzecz biorąc upadkiem LB, wywalił cały ten dziwny świat w powietrze. Nagle zabezpieczenie udzielonych pożyczek zaczęło mieć kolosalne znaczenie. A najwyższa klasa zabezpieczeń szybko się wykruszała. Aż po ten niewyobrażalny moment, kiedy najmocniejszy rating straciły Stany.

Wraz z narastaniem niekontrolowanego globalnego kryzysu, który z fazy finansowej gładko przeszedł do fiskalnej, polityka, która wpełniła świat na skraj przepaści, bynajmniej nie zniknęła z horyzontu na rzecz czystych technokratycznych rozwiązań suflowanych przez ekonomistów. Wręcz przeciwnie, zyskała ona nawet na znaczeniu. Dziś w gospodarce już wszystko jest polityką, a instytucje z definicji „techniczne”, jak banki centralne, stały się wprost bastionami najczystszej polityki.

Z braku innych instytucji zdolnych zapanować nad powszechnym chaosem to właśnie banki centralne wzięły się za uprawianie ratunkowej polityki. To, co wyprawiają dziś amerykański Fed, czy Europejski Bank Centralny jest próbą zarządzania globalnym kryzysem przez instytucje pozbawione demokratycznego mandatu. Trwała obecność banków centralnych na rynku skarbowych papierów wartościowych, „deklaracje nieodpowiedzialności”, gdzie bank zobowiązuje się do pozostawienia przez z góry wyznaczony czas stóp procentowych na określonym niskim poziomie, są przy tym głęboko sprzeczne z mandatem udzielonym tym instytucjom do wykonywania ich normalnych obowiązków.

Gospodarka światowa wchodzi na kompletnie nierozpoznaną teren. Wchodzi tam pod tymczasowym przywództwem niedemokratycznych, ustanowionych do wykonywania innych zadań instytucji. Jak mogło do tego dojść? Gdzie są obieralni politycy?

I tu dochodzimy do istoty rzeczy. Wszystkie dotychczasowe, wymuszone w mękach i przychodzące dosłownie w ostatniej chwili, decyzje polityczne dotyczące zarządzania kryzysem w Stanach i strefie euro, od pierwszego pakietu pomocowego dla peryferyjnych krajów strefy euro, poprzez drugi pakiet grecki, po podniesienie limitu długu w Stanach, były – jak na oczekiwania i potrzeby chwili – zdecydowanie niewystarczające. Charakteryzowały się przy tym jeszcze jedną szczególną cechą: były to w zdecydowanej większości działania unilateralne. Żadna skoordynowana międzyregionalna akcja zarządzania kryzysem, w której uczestniczyłyby zarówno Stany, jak strefa euro, państwa europejskie pozostające poza nią, ale też Chiny, czy kraje Ameryki Łacińskiej, nie została dotąd się podjęta.

Przyczyn nie trzeba chyba szeroko objaśniać. Chodzi nie tylko o trudności łączące się z wypracowaniem scenariusza skoordynowanej akcji, gdzie udałoby się pogodzić sprzeczne interesy dzielące dziś świat pełen regionalnych (północ-południe Europy) i globalnych (Stany – Chiny) nierównowag. Chodzi też o bardziej pragmatyczny aspekt, tłumaczący brak rozmachu dotychczasowych programów ratunkowych. A jest nim bez wątpienia polityka wewnętrzna rozwiniętych współczesnych demokracji.

Rządy w Niemczech i Francji, krajach decyzyjnych w kwestii rozwiązań instytucjonalnych kryzysu w strefie euro, mają do czynienia z silną opozycją sprzeciwiającą się kultywowaniu „unii transferów”. Ta opozycja pochodzi również z własnych szeregów. Republikanie w Stanach są wewnętrznie podzieleni. Demokraci zresztą też. Niektórzy gotowi byli postawić świat na krawędzi przepaści w imię własnych celów politycznych, czyli osłabienia szans wyborczych rywali.

Kolejne odsłony niewystarczających, nienadających za potrzebami chwili, programów sanacyjnych, nie będące w stanie uspokoić rozdygotanego rynku, są w tych warunkach czymś najzupełniej normalnym. Polityka w krajach demokratycznych rządzi się wciąż tymi samymi, niezależnymi od ostrości kryzysu, prawami. A pierwsze z przykazań brzmi: trzeba być ponownie wybranym.

Dlatego właśnie zarządzanie kryzysem spoczywa, jak dotąd, w rękach instytucji niedemokratycznych i do tego niepowołanych. Te instytucje robią rzeczy ryzykowne, ale ich techniczna ekwilibrystyka przynajmniej wyborców nic jeszcze nie boli. Pozwala za to utrzymać się globalnej gospodarce, tam gdzie ona teraz jest, czyli blisko dna, ale nie na samym dnie. Czy tak już będzie do końca? Kiedy ten koniec nastąpi? I wreszcie: jaki on będzie?

Moim zdaniem ciężar uporania się z kryzysem musi w końcu na powrót spocząć na barkach demokratycznie wybranych rządów. W przeciwnym wypadku grożą nam nieobliczalne konsekwencje, w tym kompletne rozchwianie globalnej gospodarki i upadek autorytetu banków centralnych. Droga jest przy tym dość jasno wytyczona. Menu sensownych, ekonomicznie umocowanych rozwiązań leży na tacy od dawna: potrzeba jest dalsza delewaryzacja, cięcia wydatków, wzrost podatków, ograniczanie regionalnych i globalnych nierównowag. Potrzebna jest też współpraca międzynarodowa i solidarność polegająca na pomocy w odzyskiwaniu konkurencyjności najbardziej zacofanych gospodarek strefy euro. Wszystko to oznacza na krótką metę konieczność ponoszenia kosztów. Politycy w Europie będą się musieli w końcu zgodzić na potrojenie środków Europejskiego Funduszu Stabilizacyjnego, choć dziś jeszcze głośno przeciw temu protestują. Politycy w Stanach muszą się dogadać, co do cięć i podatków. Mają czas do listopada. Koszty makroekonomiczne dostosowań fiskalnych zostaną opłacone w postaci wolniejszego tempa wzrostu i wyższej stopy bezrobocia.

Świat Zachodu musi dojrzeć do demokratycznej metody procedowania z kryzysem, do reform, które próbują dziś wymuszać na rządach szantażem banki centralne. Politycy potrzebują czasu na uporanie się z opozycją, pozyskanie opinii publicznej i zaspokojenie oczekiwań rynku na rozsądne, wspólne w skali globu rozwiązania. To, niestety, potrwa. Trudno dokładnie powiedzieć ile to jeszcze zajmie czasu. Nie sądzę jednak, żeby ciężar zarządzania kryzysem przeszedł z instytucji niedemokratycznych na rządy wcześniej niż za 2-3 lata. I taki – moim zdaniem – z dzisiejszej perspektywy powinien być właśnie horyzont wytyczający dużą zmienność i niepewność w światowej gospodarce. Trzeba mieć przy tym nadzieję, że w tym czasie bez przywództwa, niedemokratyczne instytucje próbujące uporać się z kryzysem, nie wyrządzą gospodarce, sobie samym i nam wszystkim nieodwracalnych szkód, prowadząc daleką od ortodoksji politykę monetarną.

Nieco inaczej radzą sobie z kryzysem rządy niedemokratyczne. Chiny zdają się zmieniać dotychczasowy front. Zamiast obrony kursu walutowego, dalszego akumulowania sięgających dziś 3,200 mld dolarów rezerw oraz inwestowania w niepewne amerykańskie czy europejskie obligacje, zezwalają na rosnące tempo aprecjacji.

RNB wzmocnił się wobec dolara w okresie 5 ostatnich lat o 30 proc., ale z tego w ostatnim roku już o ponad 3,3 proc., a bywały takie tygodnie w ostatnich miesiącach, kiedy tempo aprecjacji dochodziło nawet do 0,8 proc.. Chiny wyraźnie stawiają na mniejszą inflację i wyższy popyt wewnętrzny. Nie stawiają dłużej na niekonkurencyjny - za sprawą niedoszacowanego kursu walutowego - eksport. I – co najważniejsze – zdają się rozstawać na trwałe z amerykańskim dolarem, w którego przestają wierzyć. Taka zasadnicza reorientacja ugruntowanej przez dziesięciolecia strategii gospodarczej, do której w imię przywracania globalnych równowag nawoływali od dawna ekonomiści, dokonuje się w cieniu globalnego kryzysu bez zbędnych debat i dyskusji, bez przekonywania kogokolwiek, co byłoby z pewnością nieuniknione w zachodniej demokracji.

Ale trzeba wyraźnie powiedzieć: przyspieszony przez kryzys odwrót Chin od aktywów denominowanych w dolarze i euro oznaczać będzie olbrzymie reperkusje dla globalnej gospodarki. Na dłuższą metę z pewnością korzystne, ale na krótką – pogłębi się chaos na rynku długu i obniży tempo wzrostu w Stanach, które w najbliższych dwóch latach flirtować będą z recesją (zapomnijmy o niekeynesowskich efektach

dostosowania fiskalnego; 2,6 proc. redukcji deficytu w najbliższym roku, o ile zostanie zrealizowane zdjęcie z dynamiki wzrostu ok. 1,7 pkt. proc.).

Czy dojdzie do tego, że w okresie najbliższych 3-5 lat Chiny wymuszą na największej i najzamożniejszej demokracji współczesnego świata zmianę mocno tam zakorzenionej (równie jak chińska niebezpiecznej dla świata) strategii wzrostu gospodarczego opartej na finansowaniu nadmiernej krajowej konsumpcji importem oszczędności z krajów ubogich? Czyż nie byłby to największy paradoks tego największego w naszej dotychczasowej historii kryzysu?